



Niežnośna lekkość pisanian¹

Recenzja książki: Ryszard Koziołek, *Dobrze się myśli literaturą*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016, 285 s. Oprawa twarda, publikacja polskojęzyczna.

1.

Postawmy sprawę jasno od razu: nie ma znaczenia, o jakich pisarzach i tytułach opowiada Ryszard Koziołek (choć przewrotnie komentuje w tej książce nie tylko szczególnie bliskich mu pozytywistów, ale i wielu bardziej współczesnych literatów), liczy się bowiem tylko jego metoda. Ta zaś, obawiam się, jest niepodrabialna, nie sposób jej mechanicznie powtórzyć, a plagiat z Koziołka musiałby dawać efekt żałosny i godny politowania. Nie da się tak po prostu udawać charyzmy, osobowość zaś ma się bądź nie – wszelkie nieudolne próby imitacji stylu autora *Dobrze się myśli literaturą* czy też powielania jego strategii interpretacyjnych skazane są więc na niepowodzenie. Kto wie, czy twórca tych tekstów nie jest najsprawniejszym ze współczesnych polskich eseistów – w każdym razie reguły tego kapryśnego gatunku opanował do perfekcji. A jak wiadomo – esej często oparty bywa na przemocy: po jego lekturze jesteśmy absolutnie przekonani, że subiektywny porządek skojarzeń i asocjacji, początek biorący w umyśle piszącego i jego erudycyjnym zapleczu, jest najtrafniejszym może sposobem opowiadania o danym problemie, jeśli zaś szkic został dodatkowo napisany z odpowiednią werwą, to często nie starcza nam siły na to, by wejść w polemikę z sugestywnością narzucanych nam racji. Słowem: nieważne, czy Koziołek interpretuje trafnie, czy też się myli, istotne jest to tylko, że swoim pisaniem nieustannie uwodzi. Budzi tym zazdrość. Przeglądając tę stosunkowo niewielką książkę, wracając raz po raz do kolejnych szkiców w niej pomieszczonych, ponawiamy jedno i to samo pytanie: jak on to robi, jak zawłaszcza czytelnika, jak plastycznością odczytań prześciga wreszcie samą literaturę?

1. Tekst został przygotowany w ramach prac nad projektem finansowanym ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2012/05/N/HS2/01278.

2.

Książka Koziółka jest niewygodna: uwiera jej prostota. Łatwo ją z pozoru rozłożyć na elementy pierwsze, sęk w tym jednak, że nie znajdziemy w ten sposób żadnej odpowiedzi. Autor się z nami bawi: zdaje się nam co rusz podpowiadać, że nie wie o omawianych tekstach wiele więcej od nas, starannie maskuje swoją erudycję (odslaniając jej rąbek w bibliografiach do poszczególnych esejów), niekiedy posuwa się wręcz do prostodusznego udawania czytelnika naiwnego. Gdy zaś już powiedzie mu się wciągnięcie odbiorcy w tę grę, niepostrzeżenie przeprowadza go przez meandry niejednokrotnie karkołomnych analiz i interpretacji; w rezultacie nim się zorientujemy, co się tak naprawdę stało, nasz sposób widzenia poruszanej kwestii nieodwracalnie się zmieni. Teksty Koziółka są tak niebezpieczne, bo nic w nich nie sygnalizuje transgresji: nie potykamy się w tych miejscach, w których nagła zmiana języka zazwyczaj jasno daje nam do zrozumienia, że oto teraz przechodzimy na płaszczyznę pogłębionych odczytań, dostępnych tylko specjalistom, którzy wystarczająco dużo czasu poświęcili na opanowanie reguł dominującego dyskursu. Kpię nieco, ale problem w końcu nie jest błahy, dotyka on samej istoty humanistyki, tego, jak może ona rezonować w społeczeństwie, znajdować w nim oddźwięk. Koziółek bowiem potrafi pisać tak, by dać czytającemu do zrozumienia, że literatura zawsze jest czymś, co bezpośrednio i prywatnie go dotyczy; ale umie on przecież także coś więcej – wie, jak budować opowieść o literaturze w taki sposób, by i ona była zrozumiała dla każdego inteligentnego czytelnika. Ucieka tym samym od hermetyzmu teorii – i już tylko ten wysiłek zdaje się go sytuować na obrzeżach współczesnego literaturoznawstwa. Nie oznacza to, rzecz jasna, że eseje Koziółka nie mają żadnego metodologicznego umocowania: wprost przeciwnie, chętnie wykorzystuje on w nich zróżnicowane teoretyczne inspiracje (do najciekawszych spośród nich niewątpliwie należą te, które eksplorują pogranicze badań literackich i ekonomii). Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że w pisaniu także liczy się *sex appeal* – a teoria najbardziej pociągająca jest wtedy, gdy pozostaje w ukryciu; tym bardziej jest kusząca, im intymniej wydaje się powiązana ze światem jednostkowych przeżyć interpretatora.

3.

Koziółek nie boi się przy tym rzeczy niemodnych: jego książka jest przecież w gruncie rzeczy pochwałą popularyzacji, a on sam w imię upowszechniania literatury sięga po środki, które wielu jego kolegom po fachu muszą się wydawać w najlepszym razie podejrzane. Ot, jeden tylko przykład: tradycyjny biografizm. Koziółek chętnie przygląda się cudzym życiorysom, a i my sami łapiemy się na tym,

że w tym podglądactwie odnajdujemy jakąś wstydliwą przyjemność. Autor – wytrawny strateg – stopniuje napięcie. Biografia Kraszewskiego – podpowiada uspokajająco – to gotowy materiał na film przygodowy, możecie się więc czuć rozgrzeszeni. Życie Prusa? Naznaczone niepokojącą traumą, która odzywa się w twórczości; warto więc szukać tych powiązań, które czynią dzieło mniej jednoznacznym. Jak jednak wytłumaczyć na przykład to kłopotliwe zainteresowanie skromną biografią Malewskiej, w którą również wprowadza nas Koziółek? Tu już nie ma miejsca na żadną sensację. Znowu zostajemy postawieni przed faktami dokonanymi, piszący nas zaskoczył; swoich bohaterów opisując tak, jakby byli przede wszystkim postaciami literackimi. Eseje te migotliwie przeradzają się niekiedy w powieść literaturoznawczą w odcinkach, zmieniają co jakiś czas swój status. Po co to wszystko? Po to – zdaje się mówić autor – byśmy przypomnieli sobie, jak silny jest urok fabularyzacji, jak niemożliwa do przewyciężenia jest niemalże atawistyczna potrzeba opowieści.

4.

Bo Koziółek przecież tak naprawdę nic innego nie robi: opowiada nam tylko polską literaturę na nowo, dokonując zarazem przy tej okazji jej liftingu. Nieznacznie tylko parafrazując jego sąd o *Lalce*, można jednak powiedzieć: niezwykłość tych esejów polega na tym, że wszystko jest zrozumiałe, a człowiek wciąż się dziwi. Jakby mimochodem wyłania się bowiem z tych niewielkich tekstów nie tylko zupełnie inny obraz rodzimej twórczości literackiej, ale i – polskiej nowoczesności. Koziółek od lat zajmuje się skutecznie kontrabandą – mało kto z taką swadą jak on potrafi przemycić podrasowany obraz pozytywizmu; przekonująco udowadnia nam przecież nie tylko to, że nie doceniamy drapieżności tej literatury i ostrości stawianych w niej diagnoz, lecz i pokazuje, że dobrze by nam zrobiło dostrzeżenie w niej praźródła współczesności – i wyciągnięcie z tego wniosków. Większość opublikowanych w tym tomie szkiców wcześniej drukowana była na łamach „Tygodnika Powszechnego” i „Polityki”. Wybór medium może na pierwszy rzut oka zaskakiwać. Nie jest jednak przypadkowy, w tej autorskiej strategii można dostrzec chociażby powtórzenie trudu Kraszewskiego: Koziółek bowiem niewątpliwie – *horribile dictu!* – chce czytelnika wychowywać, ma chytry plan pedagogiczny. Lekkość formy nie przekłada się u niego na trywialność wybieranego tematu, powiedziałaabym nawet, że jest dokładnie odwrotnie: autor tych tekstów doskonale wie, że o sprawach poważnych trzeba mówić tak, by przyciągnąć (a następnie zatrzymać) uwagę adresata – stąd nacisk tak zdecydowanie położony na to, by w komentowaniu literatury przede wszystkim unikać nudy. Stawka w tej grze jest na tyle wysoka – możemy się domyślać

przesłanek piszącego – że wszystkie chwytły są dozwolone; przyznajmy zresztą uczciwie sami przed sobą, że wcale nie jesteśmy głusi na urok popkultury (często przez Koziółka przywoływanej), że nie wzdrygamy się tym bardziej z niechęcią na myśl o sprawozdaniu z lektury, które przeradza się spontanicznie w opowieść quasi-detektywistyczną.

5.

Dość wyrachowane mechanizmy pisarskiej autokreacji Koziółka także mają cel jasno określony: chce on pokazać siebie przede wszystkim jako czytelnika, tym samym zaś – ośmielić również sięgających po te szkice do tego, by w lekturę włożyli określony wysiłek; odbiorca *Dobrze się myśli literaturą* nie tyle ma przecież przyswoić tę nową lekcję, ile nauczyć się odwagi dywersji. Autor wbija nam do głowy jedną tylko refleksję: w czytaniu wszyscy jesteśmy równi, na tym w dużej mierze zasadza się jego projekt nowoczesnej wspólnoty. Stanowczo odcina się więc od wszelkich form paternalizmu, których tekstowym wykładnikiem bywają tak często obcojęzyczne wtręty czy też natłok odwołań do autorytetów. Mówi coś bardzo prostego, może nawet zawstydzającego w tej prostocie: każdy akt lektury danego tekstu powinien mieć w sobie świeżość czytania go po raz pierwszy; nie ma nic ważniejszego od tego, co rodzi się bezpośrednio podczas tego procesu, cały intelektualny bagaż, który nosimy, musi więc zostać temu podporządkowany, nie może przytłaczać. Koziółek uczy prawd najbardziej elementarnych: tego między innymi, że podstawą dobrej interpretacji jest pozwolenie na to, by literatura nas ujęła; na mądrość komentarza – sygnalizuje między wierszami – jeszcze przyjdzie czas, nie pozwólmy zmącić sobie czystej przyjemności obcowania z książką, poddania się sile jej fabuły. Jego czytelnik ma się poczuć dobrze: powinien uwierzyć, że sam na własną rękę jest w stanie powtórzyć to, co tak sprawnie robi interpretator. Wspólnota, o której marzy eseista, nie zasadza się bowiem na narzucaniu sztucznie skonstruowanego kanonu, to zresztą dziś niemożliwe. Jednoczyć może jedynie sama sensualna rozkosz czytania, przeświadczenie – jak mówi Koziółek – „że literaturą myśli się i mówi lepiej niż innymi dyskursami”, wreszcie – wewnętrzny przymus werbalizacji, podzielenia się tym jednostkowym przeżyciem z innymi.

6.

Czy Koziółek w takim myśleniu ma antenatów? Niewątpliwie, choć nie są oni za często w tej książce przywoływani. Czytając ją, nie sposób jednak nie pomyśleć – odwołując się tylko do przykładów z polskiego podwórka – o krytycznoliterackim

projekcie Jana Błońskiego, dziś – jak się wydaje – mimo wszystko nieco niedocenianym, przez co rozumiem przedwczesne odesłanie go do lamusa. A przecież: otwierający *Dobrze się myśli literaturą* tekst zatytułowany *Deklaracje* wydaje się współczesną odpowiedzią na manifesty pomieszczone w początkowych partiach *Odmarszu* i *Romansu z tekstem*. Spokrewnia Koziółka z Błońskim nie tylko pochwała namiętności czytania, uprzywilejowanie wzruszeń, mających być najlepszym sprawdzianem jakości tego, przez co akurat przebiegamy wzrokiem, ale i szereg elementów bodaj jeszcze ważniejszych, gdyż przekładających się bezpośrednio na praktyki interpretacji. Obaj ci krytycy są gorącymi zwolennikami podstępnej prostoty, obaj tak samo chętnie sięgającą po streszczenie, które to niezauważenie okazuje się najbardziej precyzyjną formą problematyzacji. Obaj budują niełatwy sojusz ze swoimi czytelnikami: popatrz – mówią – to nie takie trudne, jesteś w tym w stanie podążyć za nami, podsuwamy to tylko, co wyłania się stopniowo z samych tekstów. Zarazem jednak: Koziółek i Błoński to dwie zupełnie różne i bardzo osobne indywidualności; zestawienie ich metod wydaje mi się zaś o tyle ciekawe, że dostrzec w nim można zaczątek odpowiedzi na pytanie o to, czy dziś w ogóle taki model krytyki, jaki uskuteczniał kiedyś autor *Zmiany warty*, jest możliwy (a tę kwestię w ostatnich latach wielokrotnie podawano w wątpliwość). Odpowiem: jest, ale w wersji, która nie jest i nie może być powtórzeniem; repetycji podlegać mogą tylko najwyższe oczekiwania stawiane literaturze, za każdym razem od nowa aktualizowane. Beztroska – na pierwszy rzut oka – gra myśli u Koziółka ma wszakże zawsze swoje drugie dno: wyczuć można bez problemu w tych głosach potrzebę zastanowienia się nad tym, jak opisywać dziś polską historię, tę drogę, która nas doprowadziła do punktu, w którym się obecnie znajdujemy; odnaleźć w nich wolno troskę o wykształcenie wspólnego języka z tymi, dla których te problemy wciąż mają znaczenie. A że ta współczesność siłą rzeczy inna musi być od współczesności Błońskiego, odmienne będą więc i jej genealogie. Zmienne – style opisu. Stałe pozostanie tylko przeświadczenie, że trzeba próbować ze sobą – za pomocą literatury – rozmawiać.

7.

Michał Paweł Markowski – zachęcający z czwartej strony okładki do lektury książki Koziółka – pisał przed paru laty:

We Francji [...], w przeciwieństwie do Polski, historyk literatury to także ktoś, kto potrafi świetnie pisać, kto nie boi się pisać i kto z pisania czerpie pełną przyjemność. Z tego powodu tak bardzo lubię Rolanda Barthes'a, którego tak bardzo nie lubi wielu poważnych historyków literatury. Otóż to Barthes właśnie nie wstydził się powiedzieć dwóch rzeczy, które codziennie przed lustrem powinni powtarzać sobie polscy literaturoznawcy: że pi-

sanie sprawia im przyjemność i że literatura jest ich osobistą sprawą. Wtedy zniknęłyby wszystkie kompleksy, resentymenty, a drętwe rozprawy pokryłyby kurz niepamięci. Tak, tego Francuzom należy zdecydowanie zazdrościć: poczucia, że komentowanie literatury także powinno być literaturą.

Krytyka Błońskiego wprost wywodziła się z tej tradycji. *Dobrze się myśli literaturą* pozwala mieć nadzieję, że ten francuski duch przekroczy w końcu granice narodowych filologii i za sprawą Koziółka zdomowi się ostatecznie także i u nas.